

Kucharz na ślubnym kobiercu Autor tekstu: Richard Wrangham

Mężczyźni świetnie sobie radzą z gotowaniem, a w społeczeństwach uprzemysłowionych często nawet pracują jako kucharze (i odnoszą w tym zawodzie liczne sukcesy). Współcześnie w dużych miastach pary żyjące w związkach często dzielą się obowiązkami domowymi i zdarza się, że za gotowanie odpowiada mężczyzna. W społecznościach łowiecko-zbierackich mężczyźni też sami przygotowują sobie jedzenie, na przykład podczas dłuższych wypraw; zwykle innego wyjścia nie mają kawalerowie. Mężczyźni gotują też w dni świąteczne i przy okazji różnych obrzędów, ale to najczęściej jest działanie publiczne i zespołowe (jak u Mikronezyjczyków wspólnie gotujących owoc chlebowca). Ale nawet ci mężczyźni, którzy gotują podczas plemiennych ceremonii - albo kiedy nie ma kobiet — w domu jedzą to, co przygotowują im ich żony. Zasada, zgodnie z którą kucharzenie w domu należy do kobiet, jest wręcz zdumiewająco trwała i powszechna.

Taki model relacji społecznych najczęściej wyjaśniany bywa za pomocą koncepcji wzajemnych korzyści, zgodnie z którą obie płci czerpią korzyści z takiej współpracy. Wiele szczęśliwych małżeństw mogłoby to zresztą potwierdzić. To jednak tłumaczenie bardzo powierzchowne, jako że uciekamy w ten sposób od kwestii zasadniczej, a mianowicie od pytania, dlaczego nasz gatunek w ogóle wytworzył organizację społeczną opartą o gospodarstwo domowe, jak również, dlaczego ta instytucja społeczna bardzo często przybiera postać wyzysku kobiet. Mężczyźni z wyspy Vanatinai mogliby z powodzeniem podzielić się z kobietami również obowiązkiem przygotowywania posiłków, ale nie chcieli tego robić, mimo że one — czasem przynajmniej — tego od nich oczekiwały. Charlotte Perkins Gilman już ponad sto lat temu odkryła, że ludzie to jedyne gatunek, w którym „Atrakcja seksualna [...] służy nie tylko jako sposób do zdobycia sobie towarzysza, ale także jako środek do zapewnienia sobie egzystencji” i zrównała społeczną sytuację kobiet i koni. Niewiele później Molly i Eugene Christian, pionierzy witarianizmu, skarżyli się, że gotowanie „uczyniło z kobiety niewolnika”. Teoretycznie rzecz biorąc, wśród łowców-zbieraczy kobiety i mężczyźni mogliby niezależnie zdobywać dla siebie pożywienie, tak jak czynią to wszystkie inne zwierzęta, po czym każde mogłoby wieczorem coś sobie przyrządzić. Co zatem sprawiło, że w naszym akurat gatunku ukształtował się podział pracy, a z nim egzekwowana przez mężczyzn reguła, zgodnie z którą to obowiązkiem kobiety jest przygotowywanie posiłków dla rodziny?

Pozostałe naczelnice na ogół, kiedy cokolwiek znajdują, zjadają to na miejscu. Łowcy-zbieracze postępują inaczej — znoszą jedzenie do obozowiska, gdzie jest ono przetwarzane i przyrządzane. Obie te czynności łączą się z konkretną pracą, a w obozowisku pracę można komuś zaoferować i wymienić. Być może zatem to właśnie gotowanie sprawiło, że wymiana społeczna (ekonomia gospodarstwa domowego) zastąpiła indywidualne zdobywanie pożywienia. Tak sądzi na przykład archeolog Catherine Perlcs: „Każdy akt kulinarny to projekt od samego początku społeczny. Gotowanie położyło kres samowystarczalności jednostki”. Tam, gdzie pojawia się gotowanie, pojawia się produkt, który można mieć, a także dać komuś albo ukraść. Zanim zaczęliśmy gotować, jedliśmy podobnie do szympanów — była to czynność indywidualna. Wraz z zaprzęgnięciem ognia do pracy zebraliśmy się wokół ogniska i podzielili obowiązkami.

Pogląd Perlcs, iż gotowanie jest z konieczności aktywnością społeczną, podziela wielu badaczy. Na przykład holenderski socjolog od wielu lat zajmujący się rolą ognia w naszych dziejach, Joop Goudsblom, twierdzi, że do termicznej obróbki żywności niezbędna jest społeczna koordynacja działań: „choćby po to, by była pewność, że ktoś zawsze dopilnuje ogniska”. Historyk żywności Felipe Fernandez-Armesto uważa z kolei, że to gotowanie stworzyło ludzkie wspólnoty, dzięki niemu



bowiem wyłonił się fenomen „pory posiłku”. Michael Symons, autorytet w dziedzinie historii kulinarnej, również sądzi, że gotowanie promowało międzyludzką współpracę, a to poprzez mechanizm dzielenia się: ten, kto przygotowuje posiłek, później go dzieli. W tym sensie gotowanie jest dla Symonsa „początkiem wymiany i handlu”

Spoleczne znaczenie przygotowanej żywności można zatem uznać za fakt powszechny i bezdyskusyjny. Kontrast pomiędzy jedzeniem wspólnie i samotnie szczególnie wyraźnie rysuje się u łowców-zbieraczy, dla których gotowanie jest aktem społecznym, natomiast jedzenie surowego czynnością indywidualną. Poza obozowiskiem członkowie takich kultur zadowolają się zwykle spożywanymi na surowo dojrzałymi owocami czy robakami; jedno i drugie człowiek zbiera i zjada sam, nie dzieli się z nikim. Natomiast gotowanie odbywa się już zwykle w obozowisku i w tym przypadku normą jest dzielenie się z rodziną, a przy okazjach świątecznych również z innymi rodzinami. Co więcej, przygotowanie jedzenia opiera się o współpracę. Najczęściej wygląda to tak, że kobieta przynosi opał i jarzyny, przyrządza je i odpowiada za cały posiłek, mężczyzna zaś dostarcza mięso — tu zresztą nie ma już powszechnie obowiązujących reguł, które z nich je przygotowuje. Członkowie rodziny zwykle jedzą posiłek o tej samej porze (choć mężczyzna czasem je pierwszy), często zasiadają też wspólnie wokół ogniska.

Zauważmy jednak, iż hipoteza, jakoby doglądanie ognia, spożywanie posiłków i dzielenie się żywnością bezwzględnie wymagały współpracy, jest w sposób oczywisty fałszywa. Alexander Selkirk, czyli pierwowzór Robinsona Crusoe, kiedy uratowano go w roku 1709, po czterech latach samotności na wyspie Juan Fernández na środku Pacyfiku, był w świetnej formie. Znamy też (wspominałem już o nich) liczne przykłady kombatantów, którzy po zakończeniu działań wojennych ukrywali się w dziczy i przez lata sami sobie gotowali — po II wojnie światowej niejaki Shoichi Yokoi spędził w ten sposób na wyspie Guam 28 lat, odnaleziono go dopiero w roku 1972. W niektórych wspólnotach łowiecko-zbierackich — na przykład u Tiwi z północnej Australii — kobiety same troszczą się o żywność i opał, same też, bez najmniejszej pomocy ze strony mężów, rozpalają ogień i przygotowują posiłki. Z kolei mężczyźni (i to zarówno łowcy-zbieracze, jak i najzupełniej współcześni i cywilizowani Amerykanie), wybierają się czasem na samotne, wielodniowe wyprawy łowieckie, podczas których sami dla siebie gotują. Przykładów takiej samowystarczalności podać można tak wiele, że teza, jakoby gotowanie wymuszało kooperację, staje się co najmniej mocno dyskusyjna.

Dlaczego zatem „projekt kulinarny” (by odwołać się do języka Catherine Perlcs) tak często istotnie bywa aktem społecznym, skoro, jak pokazaliśmy, wcale nie musi tak być? Przygotowana żywność rzeczywiście stwarza możliwości współpracy, ale zarazem naraża gotujących na wyzysk. Dalej — przygotowanie posiłków zajmuje dużo czasu, więc samotny kucharz może nie być w stanie bronić swoich wytworów przed zdeterminowanymi złodziejami (na przykład zgłodniałymi i niedysponującymi własnymi zapasami żywności mężczyznami). Wiązanie się w pary rozwiązuje te problemy — mąż to dla kobiety gwarancja, że inne samce nie skradną zebranej przez nią żywności, z kolei żona to dla mężczyzny pewność, że wieczorem będzie na niego czekał posiłek. W tym ujęciu gotowanie należy uznać za podstawę prostych relacji quasi-mażeńskich, albo też przyjąć, że utrwaliło ono i wzmocniło wcześniej już istniejące formy związków, do których powstania przyczyniły się polowanie oraz rywalizacja o partnera seksualnego. Niezależnie od tego, który z tych wariantów zaakceptujemy, efekt jest ten sam — prymitywny, gangsterski niemal chwyt polegający na tym, że mężowie wykorzystują więzi łączące ich z innymi mężczyznami, członkami tej samej wspólnoty, by „ochraniać” swoje żony przed rabunkiem, za co te odwdzięczają się, przygotowując im posiłki. Wiele korzyści ze wspólnego gospodarstwa domowego, takich jak produkty dostarczane przez mężczyzn, wzrost wydajności pracy i powstanie sieci relacji społecznych ułatwiającej wychowanie dzieci, to tylko dodatki, efekt uboczny, chciałoby się powiedzieć, rozwiązania podstawowego problemu, a ten był dość prosty: kobiety potrzebowały męskiej ochrony przede wszystkim dlatego, że zajęły się gotowaniem. Mężczyźni wykorzystali swoją pozycję społeczną, by osiągnąć dwa cele: po pierwsze zagwarantować kobietom, że nie będą tracić zebranego i przygotowanego przez siebie pożywienia, a po drugie zagwarantować sobie wieczorny posiłek. Warunkiem osiągnięcia tego drugiego celu było zrzucenie gotowania na kobiety.

Spójność tej teorii potwierdza choćby banalna skądinąd obserwacja, że gotowanie jest czynnością długotrwałą i rzucającą się w oczy. W buszu widok unoszącego się znad ogniska dymu, a nawet sam zapach, z daleka już zdradzają miejsce, gdzie ktoś gotuje. Jeśli komuś zależy (bo na przykład jest głodny), łatwo namierzy kucharza przy pracy. Nietrudno sobie wyobrazić, jak w praktyce musiało to wyglądać na przykład u *Homo erectus*. Ponieważ samice były mniejsze i fizycznie słabsze, nieustannie groziło im niebezpieczeństwo ze strony despotycznych, domagających się jedzenia samców. Ochronę przed próbami wyłudzenia, wykradnięcia czy wręcz

wymuszenia jedzenia przez obce samce mógł dać samicy wyłącznie szczególnie bliski związek z własnym samcem, który bronił jej pokarmowych zdobyczy, a na dodatek przynosił mięso. Takie więzi okazały się na tyle istotnym czynnikiem przetrwania dla obu płci, że doprowadziły do wyewoluowania u naszych przodków tej szczególnej psychiki, która ukształtowała — i po części nadal kształtuje — relacje damsko-męskie.

Łagodzący wpływ gotowania na stosunki społeczne dobrze ilustrują niektóre obserwacje antropologiczne, na przykład zachowania łowców-zbieraczy podczas posiłków. Jak się okazuje, takie okazje nastrajają ludzi pokojowo. Lorna Marshall opisuje na przykład szczególną atmosferę posiłków u Nyae Nyae !Kung i wydaje się, że to przykład dość typowy. „Kiedy ktoś podchodzi do ogniska rodziny, która przygotowuje jedzenie bądź już je, powinien usiąść w pewnej odległości, by nie zostać uznany za natręta, i poczekać, aż zostanie zaproszony. [...] Podczas jedzenia nie zaobserwowaliśmy nigdy, by ktoś zachowywał się w sposób nieokrzesany, próbował oszukiwać albo wyrwać innym jedzenie z rąk. [...] Uprzejmość przy przyjmowaniu jedzenia (czy czegokolwiek innego) objawia się tym, że człowiek wyciąga obie dłonie przed siebie i czeka, aż dar ów zostanie na nich złożony. U !Kung, jeśli sięgasz po coś jedną ręką, to znaczy, że chcesz to po prostu zabrać. [...] Poruszyło mnie bardzo, gdy zobaczyłam tak wielką powściągliwość w nabieraniu sobie jedzenia i to u ludzi, którzy wszyscy są wychudzeni, często cierpią głód i wciąż lękają się, że zabraknie im jedzenia”.

Takie spontanicznie przestrzeganie dobrych manier przy posiłku to uniwersalna właściwość wszystkich współczesnych kultur łowiecko-zbierackich. Nic podobnego nie zaobserwowano u żadnego innego gatunku! U pozostałych zwierząt wszystko, co ma jakąś wartość, a nie nadaje się do natychmiastowego spożycia, to potencjalny powód do walki. Większość owoców, które jedzą szympanasy, jest co najwyżej wielkości śliwki, a zatem tak mała, że nie ma się o co bić. Natomiast dojrzały owoc drzewa chlebowego waży do ośmiu kilogramów i nawet stado może potrzebować dwóch godzin, żeby sobie z nim poradzić, więc pojedynczy osobnik nie ma żadnych szans, by go zjeść, zanim inne się nie zorientują i nie przyjdą dopomnieć się o część dla siebie. Młode są w lepszej sytuacji, bo zawsze wyżebrzą coś od matki, ale dorosłe osobniki natychmiast zaczynają walczyć o cały owoc albo przynajmniej o co większe kawałki. U szympanosów zwyciężają samce, u bonobo — samice. Zawsze wygrywa płć dominująca. Są takie gatunki pająka, u których samiec domeldowuje się do pajęczyny samicy i zabiera jej pożywienie; samice, do których żaden samiec się nie wprowadził, ważą więcej. Nawet wśród lwów samice muszą oddawać „lwią część” zdobyczy samcom.

Powściągliwość — przynajmniej w przypadku konkurencji o żywność — to w świecie zwierząt cecha wyjątkowo rzadka. Szympanasy walczą o każdy kęs, który mogą przejąć na własność, ale najbardziej zawzięta jest rywalizacja o mięso. Awantury, jakie wówczas wybuchają, można usłyszeć nawet z odległości kilometra. Jak to wygląda? Otóż gdy tylko niezajmujący wysokiej pozycji w stadzie osobnik cokolwiek schwyta (lub znajdzie), natychmiast całą zdobycz zabiera mu szympanas wyższy rangą. W większym stadzie zdobycz błyskawicznie zostaje rozdarta na strzępy przez zdesperowane wrzeszczące samce, z których każdy chce wyrwać jak największy kawał dla siebie. Później jedzenie mięsa może trwać nawet godzinami. Te mały, którym udało się wywalczyć tylko mały ochłap (albo nic), żebrzą wytrwale, pokazując odwrócone dłonie i chciwie wyciągając wargi w stronę mięsa. Im ich błagania są bardziej namolne i wytrwale, tym więcej mięsa dostaną, choć nierzadko tylko dzięki temu, że uda im się zniecka wyrwać komuś kawałek. Szczęśliwi posiadacze próbują zyskać chwilę spokoju, odwracając się do reszty stada plecami lub wspinając się na trudno dostępne gałęzie, czasem też atakują natrętów albo walą ich ochłapami, ale to taktyka skuteczna tylko na krótką metę. Takie nieustanne napastowanie na tyle utrudnia życie (a raczej żucie) posiadaczowi mięsa, że czasem pozwala on innym zabrać sobie kawałek, a bywa, że i sam rzuca czymś w najbardziej natrętnego „żebrakowi”, który natychmiast łapie zdobycz i ucieka. Jak widać, wysoka wartość odżywcza mięsa to nie wszystko — trzeba mieć jeszcze czas, żeby je zjeść; albo ma się kłopoty

Jednostki o najniższym statusie społecznym na takich awanturach wychodzą najgorzej, na przykład samice praktycznie nie mają szansy na spory kawałek, generalnie zresztą szympanasice jedzą mniej mięsa niż szympanasy, co wynika wprost z ich gorszej skuteczności w walce. Czasem któraś dostanie kawałek mięsa od swojego aktualnego partnera, ale to bardziej wyjątek niż reguła. W sumie na coś takiego nie mogą liczyć nawet samice w rui i dlatego w ogólnym bilansie żywieniowym u szympanosów mięso odgrywa o wiele większą rolę u samców niż u samic i młodych.

Jeśli w czasach pierwszych kucharzy temperament naszych przodków był taki, jak współczesnych szympanosów, próba ugotowania czegokolwiek przez osobnika o niewysokim statusie społecznym była praktycznie z góry skazana na porażkę, a przetworzone jedzenie musiało być

niezwykle wysoko cenione. Zresztą już sam akt zbierania tylko przez zgromadzenie pożywienia w jednym miejscu podnosi jego wartość, a obróbka termiczna czyni je jeszcze dużo bardziej atrakcyjnym. Osobniki podporządkowane, posiadające tak wartościowe dobra, byłyby stale narażone na ataki drobnych złodziejasków (lub na coś znacznie gorszego). Słaby i pozbawiony ochrony kucharz straciłby bez wątpienia część lub całość swojego posiłku, wystarczy, że w okolicy pojawiłyby się jakieś głodne dominujące samce. Zwłaszcza kobiety stałyby na straconych pozycjach, a ich los przypominałby sytuację samic szympanów, tym bardziej, że nic nie wskazuje, by hominidzkie kobiety (lub ich przodkinie) potrafiły tworzyć koalicje zdolne do obrony (z użyciem fizycznej siły, jeśli trzeba) swych członkiń przez przemocą samców, jak to dziś czynią samice bonobo.

Pomyślmy teraz, co się dzieje, jeśli w takim świecie pojawia się grupa „twardzieli” — kilka samców, które uznają, że najprostszą drogą do napełnienia żołądka, jest podążanie śladem obozowych ognisk. Taka banda bez problemu poradziłaby sobie z bezbronnym kucharzem i mogłaby w każdej chwili zabrać mu (lub jej) całe pożywienie, wybrawszy nawet stosowny moment, na przykład gdy posiłek będzie już gotowy. Gdyby takie ekspedycje często kończyły się sukcesem, samce mogłyby przejść na zawodowstwo i przestać troszczyć się o polowanie czy samodzielne zbieranie żywności lub jej obróbkę, a wyspecjalizować się jedynie w grabieży. (Zbliżoną strategię przyjęły lwy, które regularnie jadają mięso ofiar upolowanych przez samice). Taki ewolucyjny scenariusz wskazuje, że dopóki nasz przodek-kucharz nie mógł być spokojny o owoce własnej pracy, gotowanie zdecydowanie nie było opłacalną metodą przygotowywania posiłków.

Zresztą w określonych okolicznościach ludzie też kradną i to całkiem chętnie, i chyba nikt nie twierdzi, iż nasz gatunek nie jest zdolny do tego typu konkurencyjnych zachowań. Doskonale wiemy, co może czuć na przerwie nerwowy dzieciak z atrakcyjnym drugim śniadaniem, albo ktoś, komu w „złej” dzielnicy właśnie uciekł ostatni autobus... pełen portfel zaczyna raptem strasznie ciążyć. Zazwyczaj ludzie mają znacznie mniejsze opory, gdy własności pozbawić można członka innej społeczności. Rolnicy uprawiający ziemię w pobliżu terytoriów zajmowanych przez łowców-zbieraczy są nieustannie okradani. Poza tym czasem przestaje obowiązywać podział na swoich i obcych. Kradzież, oszustwo i wymuszenia były na przykład wszechobecne wśród zamieszkującego wyżyny północnej Ugandy plemienia Ik. Wyjątkowo ciężką egzystencję tego ludu opisał antropolog kultury Colin Turnbull w książce *Ikowie - ludzie gór*, którą pisarz Robert Ardrey nie przypadkiem określił jako „raport z życia społeczeństwa pozbawionego moralności”. Ikowie to myśliwi, których wygnano z ich odwiecznych terenów łowieckich, czego efektem stały się nękające wspólnotę głód, choroby i wzajemny wyzysk. Jak pokazał Turnbull, jakkolwiek duch wspólnotowy praktycznie wśród tych ludzi zanikł. W tym świecie „człowiek odarty ze wszystkiego, co zbędne, okazuje się w swojej nagiej, pierwotnej postaci, i w sposób równie pierwotny walczy o przetrwanie. Przepaść dzieląca nas od zwierząt, którą się tak chełpimy, nagle kurczy się i znika, z tym, że w porównaniu z ludźmi zwierzęta wypadają lepiej i możemy u nich znaleźć dużo więcej owych cech ludzkich, niż u Ików”. Książka Turnbulla to doprawdy przejmujące świadectwo, jak może zdziczeć człowiek, gdy zerwaniu ulegają więzi społeczne.

Kradzieże zdarzają się też i wśród stabilnych społeczności łowiecko-zbierackich, co potwierdzają etnografowie. Colin Turnbull pisał również o Pigmejach Mbuti. Pepei — tak nazywa się bohater jednej z jego opowieści — był kawalerem, nie miał kobiety i musiał sam przygotowywać sobie posiłki, w związku z czym często chodził głodny. Kilkakrotnie przyłapano go na podkradaniu małych porcji jedzenia z cudzych garnków czy palenisk, a najczęściej jego ofiarą padała pewna stara wdowa, która nie miała nikogo, kto by jej bronił. Karą, jaką się wobec niego posłużono, było wystawienie na pośmiewisko — musiał zjeść pokarm przeznaczony wyłącznie dla zwierząt, a potem znieść publiczną chłostę ciernistą gałęzią. Uzyskał wybaczenie dopiero, gdy się rozplakał.

W świecie łowców-zbieraczy głód jest normą, można by więc przypuszczać, że kradzieże żywności zdarzają się dość często, zwłaszcza że w tego typu małych egalitarnych wspólnotach nie ma policji, ani żadnej formalnej władzy. W tym świecie kobieta zwykle wraca do obozowiska w środku dnia i przynosi surowe produkty, które udało się jej zebrać, a potem przy własnym ognisku zaczyna przygotowywać wieczorny posiłek. Mężczyźni powracają w różnych porach, samotnie lub w małych grupkach. Wiele spośród zebranych przez kobiety produktów można zjeść na surowo, przed i w trakcie gotowania. Mężczyźni, który głodny wraca z buszu i nie ma nikogo, kto by dla niego gotował, łatwiej poprosić kobietę o coś do jedzenia — albo po prostu coś sobie wziąć — niż przygotować własny posiłek; może też ukradkiem przeszukać obóz, nawet w nocy, by znaleźć jakieś pożywienie. Takie zachowania spotyka się jednak rzadko. Pokojowa atmosfera panująca u !Kung San, którą znamy z badań Lorny Marshall, wynika z charakterystycznego dla różnych małych wspólnot, również łowiecko-zbierackich, systemu społecznego. Podstawą tego systemu są silne normy kulturowe. Wymóg unikania konfliktów podczas posiłków jest jedną z nich, inne natomiast

nakładają na zamężne kobiety obowiązek własnoręcznego przygotowania posiłku dla męża (czasem mogą jej pomagać inni członkowie rodziny).

Antropolożki społeczne Jane Collier i Michelle Rosaldo przyjrzały się pod tym kątem małym, rozsianym po całym świecie społecznościom. We wszystkich, jak odkryły, „kobieta musi zapewnić swojej rodzinie codzienny posiłek”. Oto dlaczego żonaci mężczyźni mogą zawsze liczyć, że przed snem dostaną coś ciepłego, a skoro tak, nie mają żadnego powodu, by zabierać żywność kobietom, które nie są ich żonami. Ten obowiązek spoczywa na kobietach niezależnie od tego, jak para dzieli między sobą inne prace i jak wiele żywności każda ze stron wnosi do związku. W tradycyjnych rodzinach eskimoskich na przykład, gdzie głównym pożywieniem są zwierzęta — morskie ssaki, karibu i ryby — głównym dostawcą jest mężczyzna. Ale gdy mężczyzna wraca do domu po całodniowym polowaniu, zawsze czeka nań ciepła strawa. Gotowanie nad kagankiem z foczym tłuszczem trwa bardzo długo i kobiety nieraz muszą spędzić na tej czynności całe popołudnie, ale nawet jeśli na polowanie idzie razem cała rodzina, kobieta wraca wcześniej, aby wszystko było gotowe, kiedy jej mąż i pozostali myśliwi wrócą do obozowiska. Nie ma wyjścia, bowiem gdyby dopuściła do sytuacji, w której zastałby puste garnki, zostałaby srogo ukarana, tak że kolacja musi czekać również i wtedy, gdy w ogóle nie wiadomo, kiedy mężczyzna wróci. No cóż, w przypadku eskimoskich żon pewną rekompensatą jest to, że mężczyzna praktycznie w pełni odpowiada za aprowizację rodziny.

Tyle że sytuacja kobiet niewiele się różni w tych społecznościach, gdzie to one przynoszą do domu niemal całą żywność. Tak jest na przykład u Tiwi z północnej Australii. Tiwi to poligamiści, niektórzy mają nawet po dwadzieścia żon. Kobiety przez długie godziny zbierają tu żywność, a po powrocie do wsi przygotowują posiłek (jeden dziennie). Zwierzyny łownej jest tu bardzo niewiele, więc mężczyznom tylko okazjonalnie udaje się coś upolować i zwykle to jakieś małe zwierzę, na przykład waran. W każdym razie mężczyźni zdobywają tak mało żywności, że dopiero to, co zbiorą ich kobiety, zapewnia im byt. Jeden z przepytanych przez antropologów Tiwi ujął to zresztą wprost: „Gdybym miał tylko jedną albo dwie żony, przymierałbym głodem”. Rola żon polega jednak nie tylko na zapewnieniu żywności w ilości wystarczającej dla głowy domu. Trzeba jej więcej, tak by starczyło również dla innych, wśród Tiwi bowiem to posiadanie nadwyżek żywności — i dzielenie się nimi — stanowi kryterium sukcesu, a warunkiem zdobycia i utrzymania wysokiej pozycji w grupie jest zapraszanie innych mężczyzn na uczty. To, iż żywności dostarczają głównie kobiety, w najmniejszym stopniu nie przekłada się jednak na ich pozycję w małżeństwie. Faktyczna niezależność ekonomiczna oraz kluczowa rola w budowie statusu społecznego nie zmieniły na przykład tego, że były „bite przez mężów równie często i brutalnie, jak kobiety w innych prymitywnych społeczeństwach”.

Wśród Innuitów, Tiwi ani w innych analizowanych przez Colier i Rosaldo społecznościach, pytanie, czy taki podział pracy jest sprawiedliwy, w ogóle nie pada: to, czy żona chce, czy nie chce gotować dla swojego męża, nie ma żadnego znaczenia, po prostu ma to robić. Rezultat jest taki, że mężczyzna ma zagwarantowany posiłek, niezależnie od tego, czy zmęczony i głodny wraca po całodziennym polowaniu, czy cały dzień plotkował (to się nazywa: polityka) z sąsiadami. Mężczyzna może zachowywać przy jedzeniu nienaganne maniery, żonę może traktować przyjaźnie, a nawet naprawdę ją kochać, ale nie ma to wpływu na formalną strukturę ich relacji: mąż ma prawo do pracy swojej żony i znacznej (zwykle tej lepszej) części jej żywności.

Kolejnym czynnikiem gwarantującym brak konfliktów w obozowisku jest reguła, zgodnie z którą bez zgody męża kobieta nie może karmić innego mężczyzny (chyba że członka najbliższej rodziny), przy czym zasada ta obejmuje zarówno surowe produkty, jak i przygotowane posiłki. Poza mężem i najbliższymi krewnymi nikt nie ma prawa, by o cokolwiek ją prosić, ona zaś, przydźwigawszy swoje zbiory do obozowiska, może mieć pewność, że nikt jej nic nie zabierze.

Dla nas, ludzi Zachodu, prawo własności to oczywistość, u łowców-zbieraczy jest jednak całkiem inaczej. W tej kulturze dzielenie się żywnością (przez mężczyzn!) jest w zasadzie obligatoryjne, a nakaz współpracy, obejmujący całą wspólnotę, stanowi zwykle bardzo silną normę. W takim świecie, niezależnie od tego, jak wiele wysiłku musiał włożyć mężczyzna w zdobycie żywności, jego prawo do niej zależy od decyzji grupy, której on musi się podporządkować, nawet jeśli to znaczy, że nie skorzysta w ogóle z owoców własnej pracy. Zdarza się na przykład, że to inni dzielą jego łup — tak działo się choćby u niektórych plemion północnoamerykańskich Indian, gdzie młody człowiek, który upolował pierwszą ofiarę, przynosił ją do obozu i potem mógł się tylko przyglądać, jak inni piekli i zjadali jego zdobycz; ten obyczaj zapewne symbolizował podporządkowanie jednostki społeczności. Częściej jednak myśliwy sam dzielił łup, choć już raczej nie do niego należała decyzja, jaką część kto otrzyma.

Wśród Aborygenów z Australii Zachodniej obowiązują natomiast bardzo precyzyjne reguły podziału dużych upolowanych zwierząt. I tak myśliwy, który upolował kangura, zostawia sobie głowę, szyję i korpus, teściom oddaje tylną nogę, a ogon i wnętrzności dostają najstarsi członkowie plemienia. Trudno zaprzeczyć, że kontrast między męskim a kobiecym prawem posiadania żywności jest uderzający. Mimo że kobiety pracują zwykle w małych grupach i często sobie pomagają, na przykład dzieląc się informacjami, gdzie jest więcej owoców czy bulw, to to, co zebrały, stanowi już ich wyłączną własność. Tak silne zróżnicowanie płciowe kulturowych norm regulujących zasady podziału wskazuje, iż normy te mają regulować konkurencję o pokarm i rozpatrywanie ich wyłącznie jako norm moralnych jest błędne.

Prawo własności w stosunku do pożywienia chroni kobietę przed zakusami ze strony obu płci. Na australijskiej pustyni obcej kobiecie wolno przysiąść się — w przyjaznej intencji — do cudzego ogniska, ale, o ile nie może powołać się na pokrewieństwo, nie zostanie niczym poczęstowana. Mężczyznom jest jeszcze trudniej — obojętne, czy kawaler, czy żonaty, jeśli mężczyzna poprosi cudzą żonę o jedzenie, będzie to uznane za gruby nietakt i natychmiast stanie się przyczyną plotek. Jeżeli ona cokolwiek mu da, też natychmiast wezmą ją na języki. To norma na tyle silna, że podczas posiłków spożywanych w gronie rodziny chroni przed natrętami również mężczyznę. U Pigmejów Mbuti rodzinie posilającej się przy ognisku nikt nie zakłóci spokoju, do samotnego mężczyzny zawsze dosięgną się przyjaciele, z którymi będzie musiał podzielić się jedzeniem. W takim systemie niezamężna kobieta, która oferuje mężczyźnie żywność, co najmniej z nim flirtuje, a może to nawet zostać potraktowane jako zaręczyny. Badacze, zwłaszcza płci męskiej, muszą być na to bardzo wyczuleni — w tym świecie często wspólny posiłek to jedyna ceremonia „uświęcająca” zaślubiny: jeśli jakaś para wspólnie je, traktowana jest odtąd jako małżeństwo. Głównym składnikiem diety Bonerif, nowogwinejskich łowców-zbieraczy, jest sago. Jeśli kobieta własnoręcznie przygotuje posiłek z tej skrobiowej mączki dla mężczyzny, uznaje się, że od tej chwili została mu poślubiona. Zwykle dzieje się to publicznie i dla innych mieszkańców wioski stanowi sposobność do dobrodusznych kpin z młodej pary, często opartych o związek jedzenia z seksem („dużo sago uczyni z ciebie szczęśliwego mężczyzną”). To skojarzenie jest tak głęboko zakorzenione w tutejszej kulturze, że widelec służący do jedzenia sago stał się wręcz symbolicznym przedstawieniem penisa, a mężczyzna, który wyciąga ów widelec z włosów (tam bowiem Bonerif go noszą) i pokazuje kobiecie, jednoznacznie proponuje jej seks. Jak widać, w tej kulturze kobieta nie powinna nawet patrzeć na sztuczki, którymi posługuje się mężczyzna, bo może to zostać uznane za złamanie zakazu dzielenia się żywnością z kimkolwiek poza własnym mężem. A ponieważ w tym świecie prywatność praktycznie nie istnieje i wszystko dzieje się na widoku publicznym, fizyczna obecność męża nie jest nawet potrzebna, bo gwarantem obyczajnych zachowań (i moralności publicznej) jest cała wspólnota. Jeśli kobieta powie swemu mężowi, że jakiś obcy mężczyzna złożył jej nieobyczajną propozycję (czyli poprosił o jedzenie), oskarżony musi tłumaczyć się tak przed „pokrzywdzonym”, jak przed całą wioską.

Pozostaje oczywiście pytanie, dlaczego w tego typu kulturach małżeństwo jest tak dla kobiet istotne, skoro na przykład u Bonerif (podobnie jak w wielu innych wspólnotach łowiecko-zbierackich) kobiety mogą utrzymywać stosunki seksualne z kilkoma partnerami jednocześnie, nawet wbrew protestom męża, a dodać trzeba, że wkład mężczyzny w aprowizację rodziny nie jest zbyt duży. Antropolog Gottfried Oosterwal wyjaśnia jednak, że małżeństwo jest kobiecie niezbędne, by jej dzieci zostały przez społeczność zaakceptowane. Daje jej ono również pewien dostęp do struktury władzy, a tę tworzą w wiosce mężczyźni zbierający się w „domu mężczyzn”, gdzie zapadają wszystkie ważne decyzje, a te właśnie decyzje kreują wioskowy świat i określają (jedynie) słuszne i powszechnie akceptowane „poglądy na wszystko”. Posiadanie męża oznacza, że w przypadku jakiegokolwiek konfliktu kobieta (jeśli jest oczywiście „dobrą” żoną) ma swojego reprezentanta i obrońcę w gronie, które odpowiada za mechanizmy kontroli społecznej, to zaś jest niezmiernie ważne, albowiem każda łowiecko-zbieracko wspólnota chroni tylko tych, których uznaje za swoich pełnoprawnych członków.

Fragment książki Richarda Wranghama pt. „Walka o ogień. Jak gotowanie stworzyło człowieka”, wydawnictwo CiS. [Zamów książkę](http://www.racjonalista.pl/ks.php/k,1887) (<http://www.racjonalista.pl/ks.php/k,1887>)

(Publikacja: 28-11-2009)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6967) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6967>)

Contents Copyright © 2000-2009 Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2009 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl